

Tajmyr mówi do wszystkich

(„TU MÓWI TAJMYR” komedia w trzech aktach Konstantego Isajewa i Aleksandra Galicza. Reżyseria Aleksandra Galiszeńskiego. Premiera w Teatrze Nowym).

Honorując swą nazwę, Teatr Nowy po dłuższej wycieczce w krainę podstarzałych „komedij z myśką” dotarł do krainy współczesności i wystawił komedię, napisaną w 1948 roku

„Tu mówi Tajmyr” jest sukcesem teatralnym i kasowym dwóch młodych scenopisarzy radzieckich, którzy wzorem rozmaitych spółek komediowych połączyli swe siły w celu poszukiwania świeżego surowca i wyprodukowania z niego nowych, wspólnych sytuacji i puent. Nie spotkali się z zachwytem ze strony krytyki radzieckiej. W łóczęzonej niedawno na łamach „Literaturnej Gazety” dyskusji

o współczesnej radzieckiej dramaturgii kilka cierpkich uwag wypowiedział pod adresem „Tajmyru” Fadlejew. Tak bywa, gdy poważny krytyk zetknie się z niepoważnym utworem. Bo choć na afiszu widnieje pod tytułem sztuki określenie „komedia”, „Tajmyr” jest w istocie komedią o bardzo wiotkim ciężarze gatunkowym, nie komedią lecz farsą sytuacyjną, zbudowaną na zasadzie „komedii omyłek” i brawurowych quí pro quo.

Farsą, ale dobrą farsą, napisaną z dużym wyczuciem sceny i nieodpartą siłą komiczną, farsą, której lekceważyć nie należy. Bo nie samym Szekspirem widzę żyje i lekka komedio-farsa jest popularnym i dopuszczalnym składnikiem repertuaru teatralnego, jeżeli grana jest jak należy i nie apeluje do tzw. „niższych instynktów”, obrażając dobry smak, dobre obyczaje i poczucie zdrowego sensu.

A właśnie te warunki spełnia „Tajmyr”, który zerwał z systemem dotychczasowych dostawców repertuaru rozrywkowego, zerwał z pikanterią, podlaną sosem śmiechu, im bardziej bezmyślnego tym wyżej notowanego na bulwarowej giełdzie literackiej, i jest farsą bezpretensjonalną i błahą, ale dorzeczną i nie pozbawioną roztropnego społecznego morału.

I jeszcze jedno: wczorajsza czy dzisiejsza farsa paryska, wiedeńska, budapeszteńska i warszawska jest teatrem do sedna mieszczańskim i obliczonym na mieszczańską publiczność. Inaczej „Tu mówi Tajmyr”, i to jest nawlekacza, u nas wprost nieucieniona zaleta tej niefrasobliwej skądinąd sztuki. Udowa dnia ona, że zaklęty krąg przekręcić jest względnie łatwo, jeżeli się żyje w świecie niemieszczańskim. Postępowi Francuzi p.szą tuzinami świetne na mie-

szczaństwo satyry; ale robią 'o tkwiąc wewnątrz mieszczańskich halogów i mieszczańskiej tematyki Młodzi farsopisarze radziecy nie musieli się wyżywać w satyrze antymieszczańskiej, po prostu: nie dostrzegli mieszczaństwa, pisząc żart sceniczny ze środowiska ludzi i społeczeństwa radzieckiego. Znajdujemy się tu naprawdę w nowym świecie (wystarczy porównać rolę kobiety w „Tajmyrze” a w komedii burżuazyjnej), co nie znaczy, by świat ten był namaszczone, pryncypialny i mało wesoły. Zapewniam, że „Tu mówi Tajmyr” jest sztuką bardzo zabawną i że widownia raz po raz wybucha niepohamowanym śmiechem.

Treści utworu nie opowiem. Niech pozostanie niespodzianką dla widzów. Chcę jednak podkreślić wrażenie, jakie „Tu mówi Tajmyr” pozostawia po obejrzeniu. Z pokazu fars i komedij mieszczańskich wychodzi mi na ogół przynębieni — tyle odsłaniają zła społecznego i brudów życia. „Tajmyr” jest sztuką wysoce optymistyczną i pogodną. Poprzez śmiech i komiczne perypetie jego bohaterów widzi

my wspaniałą solidarność radzieckiego społeczeństwa i jego socjalistyczną młodość, energię tworzenia i budowania. Tak jest tam naprawdę i ta prawda nas porusza, bardziej bezpośrednio niż po przeczytaniu dziesięciu śmiertelnie poważnych rozpraw. Śmiejąc się na komediach burżuazyjnych — wyczuwamy zmierzch pokazywanego, koślawego świata. Nasz śmiech na przedstawieniu „Tajmyr” jest śmiechem pełnym zazdrości.

Sztuka znalazła w Teatrze Nowym bardzo dobre wykonanie. Reżyser Marian Meller nadał jej właściwe tempo i zręcznie ustatkował jej farsowe efekty. Romuald Nowicki pokazał nieco fantastyczny pokój hotelowy, ale niech mu tam! Aktorzy sami bawią się wybornie, a więc i grają z temperamentem, werwą, siłą komiczną — zbierając okaski przy otwartej scenie.

Doskonałym Diużykowem, ofiarą tysięcy nieporozumień, był Tadeusz Cygler, pyszną komediową postać dyrektora teatru stworzył Z. Chmielewski, a działka wnuczki E. Fertner. Spośród pań, po linii komediowej

zagrała U. Hałasinska i filigranowa Benigna Sojecka, czupurna wnuczka dziadka. W epizodycznych rolach zaznaczyły się wyrazistymi sylwetkami Z. Sykulska, N. Malikowska oraz A. Jaraczówna, flegmatyczna dyżurna z 13 piętra hotelu, w którym dzieje się akcja utworu.

D o p i s e k:

A to mi dali szkołę! Kto? Czytelnicy, dobrzy towarzysze i przyjaciele! Za co? Zatrżeli, po mojej wczorajszej recenzji z „Psa ogrodnika”, do encyklopedii i wyczytali, że użyte przeze mnie określenie „gongoryzm” (pochodzące od nazwiska pisarza Gongora y Argote, jak słowo sadyzm pochodzi od nazwiska markiza Sade, masochizm od nazwiska pisarza Sacher Masocha, a marivaudage od nazwiska komediopisarza Marivaux) oznacza styl sztuczny, ciemny, barokowy. „Ty gongorysto — mówię do mnie — narzekasz na zawili język Peipera, a sam smolisz gongoryzmem i mariwodazem”. Cóż mogę odpowiedzieć. Chyba tyle, że biję się w pierś i przyrzekam o lenną poprawę...

JASZCZ